

LINOSKOCZEK

autor Mariusz Wójcik

Wszedłem do pomieszczenia, które sprawiało wrażenie miejsca o higroskopijnej czystości. Kremowy, ręcznie tkany dywan z grubym włosiem, wymusił na mnie spojrzenie na buty; wierzyłem, że są czyste... Ściany w nieskazitelnym, błękitnym kolorze zwieńczone równie nieskazitelnym, białym sufitem – dopełniały całości zamkniętej w nich myśli designera. Dodać należy, że myśli bardzo ascetycznej. Wyposażenie także było proste, aczkolwiek gustowne. Centralne miejsce zajmowało szare biurko, którego strzegł niczym osobisty bodyguard – czarny, skórzany fotel zarezerwowany tylko dla możliwych tego świata... Na biurku nie było niczego, oprócz cyfrowego telefonu. Nad biurkiem zaś wisiał obraz o nieokreślonym charakterze, którego mocnym, choć niekoniecznie punktem - były rażąco ostre barwy wymieszane ze sobą na wszystkie możliwe sposoby. Cella pustelnika o podwyższonym standardzie – pomyślałem i dopiero teraz dotarło do mnie, że w pomieszczeniu nie było ani jednego krzesła! No tak, miejsce służące do wydawania wyroków śmierci nie musi posiadać krzesła; *Następny proszę!*

Stałem tak więc rozglądając się wokół i czekając na *Jego* przyjście. Miałem ochotę zapalić papierosa, ale mogłoby to oznaczać dla mnie wyrok jeszcze gorszy od kary śmierci... Nie śpieszyło mu się. Niewykluczone, że mógłby mnie teraz obserwować przez jakiś sprytnie ukryty otwór w ścianie. Obserwować moją reakcję i zachowanie, szykując werdykt bez możliwości apelacji. Czuję suchość w gardle i krople potu na czole; było duszno. Ciekawe, czy jeśli mnie obserwował – widział także moją nerwowość? - Cholera – chyba ponosi mnie wyobraźnia. - Za dużo książek i filmów gatunku... Blisko kwadrans oczekiwania w tym perfekcyjnie wymuskany lokum, to było preludium do tego co miało nadejść... I nadchodziło... Wolnym, dostojnym krokiem słyszalnym przez zamknięte, na wpół szklane drzwi. Mój wzrok skupił się już tylko na klamce, która lada moment zmieni swoje położenie, otwierając drogę mojemu przeznaczeniu. Nieciekawemu przeznaczeniu...

Wszedł do środka bez słowa przywitania i usiadł w fotelu za biurkiem. Czuję się dosyć dziwnie, ale starałem się trzymać fason. Otworzył górną szufladę biurka z której wyciągnął pistolet. Był to austriacki glock 21. Nie jest dobrze – pomyślałem, i zatrzęsły mi się nogi. Zastrzeli mnie skurwiel – zastrzeli mnie jak nic – spanikowałem. Tymczasem Joachim Leski, wyciągnął z glocka magazynek i schował go do kieszeni, broń pozostawiając na blacie biurka.

Podszedł do mnie i nachylając się do mojej twarzy – niemalże zasyczał.

– Mógłbym cię zastrzelić jak psa, - wiesz o tym?

– Wiem, tylko zupełnie nie wiem dlaczego. - starałem się być rezolutny.

– Nie zrobiłem tego jeszcze tylko dlatego, że mimo wszystko uważam, że masz jaja...

– Ja w dalszym ciągu...

– Dobrze wiesz o czym mówię! - wrzasnął. - O tobie i mojej żonie – dodał jakby ciszej. - Pieprzycie się przy każdej możliwej okazji. - Od pół roku...

Moja sytuacja zgodnie z przewidywaniami, nie była najlepsza – wiedział o wszystkim... Mimo to musiałem o siebie zawalczyć, przede wszystkim zawalczyć o Inge.

– Panie Leski – zacząłem zdecydowanym tonem. - Kocham pańską żonę i zaiste – spotykam się z nią od pół roku... - Zrobiłem pauzę, obserwując reakcję Leskiego, po czym kontynuowałem. - Przecież pan jej nie kocha – obydwaj to wiemy. Dlaczego nie pozwala pan jej być szczęśliwą?

Leski zmarszczył czoło, jakby zobaczył kogoś nie z tej ziemi i wrócił do biurka. Tym razem nie siadając – wyciągnął drugą szufladę, wyjąwszy z niej dużą, szarą kopertę. Rozsunął jej brzeg i energicznie potrząsając wysypał z niej zdjęcia, mnóstwo zdjęć. Następnie powiedział abym podszedł bliżej i dobrze im się przyjrzał.

Zdjęć było sporo, około pięćdziesięciu; na każdym z nich ja i Inga: na spacerze, na ławce, przed teatrem, w aucie i w... banku.

– Proszę mi powiedzieć panie Dubiej – ton jego głosu przypominał belfra. - Czy bardziej kocha pan Inge, czy jej pieniądze?

Po tych słowach krew napłynęła mi do mózgu.

Podskoczyłem do biurka i opierając się dwoma rękoma o brzegi blatu, bez udawanego wzburzenia prawie wykrzychałem mu w twarz:

– A jak myślisz ty nadęty bufonie? - że tak jak tobie zależy mi tylko na pieniądzach? Że gotów jestem na wszelkie niegodziwości, żeby je zdobyć? Ty głupi skurwysynu – kocham twoją żonę! Choćby była bez grosza, domu i sześciu aut – kocham ją! Ty tego nie zrozumiesz, bo jeszcze ci nikt nie powiedział, że miłości nie da się kupić! A teraz weź ten pieprzony pistolet i zastrzel mnie, bo to do ciebie podobne – tępą bydlaku!

Jednego byłem pewien, że Leski nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Usiadł na biurowym fotelu i wyjętą z kieszeni marynarki chusteczką, energicznie wycierał czoło. Następnie wstał, podszedł do mnie i zaciskając pięści tak mocno, że aż pobieleły mu palce – zaczął jak się okazało – mowę końcową z ogłoszeniem pieprzonego wyroku. Było mi wszystko jedno, martwiłem się nie o siebie, tylko o Inge.

Myślałem, że dojdzie do rękoczynów; obaj mieliśmy w sobie teraz tyle szaleństwa, że niczego nie można było wykluczyć. Jednakże nic takiego się nie stało. Leski chrząknął dwa razy, przetarł ponownie czoło i rzekł:

– Jak już wspomniałem na początku naszej rozmowy – uważam, że masz jaja. Dlatego przedstawię ci pewną propozycję, jeśli z niej skorzystasz – zachowasz nie tylko *je*, ale też moją żonę, dwieście tysięcy i... wolność. Usiadł czekając na moją reakcję. Włożył magazynek do broni i schował ją na powrót do szuflady biurka.

Pomyślałem, że chyba mnie jednak nie zastrzeli; musiał mieć dla mnie skurwiel coś gorszego...

– Posłuchaj uważnie – zaczął. - bo nie lubię powtarzać, tak jak nie lubię szablonowych rozwiązań, sztampy i rutyny. Idę z duchem czasu i postępu; lubię nowatorstwo w każdej dziedzinie, nie pomijając zemsty. Bo nie masz chyba wątpliwości, że chcę zemsty. Najprościej byłoby, gdybym cię po prostu zastrzelił. Tylko, że wtedy postąpiłbym nieuczciwie wobec siebie. Chociaż też nie tak całkiem do końca. Przyznam ci się szczerze, że nie zależy mi na Indze; nie kocham jej już od dawna. Dlatego nie jesteś teraz zawijany w dywan z dziurą w głowie, tylko otrzymujesz propozycję opartą na honorowych zasadach. Zastanawiasz się pewnie, skąd wobec tego moja propozycja, skoro nie kocham Ingi? Otóż tu chodzi o moje ego... Czy mam mówić dalej? - zapytał.

– Tak, proszę mówić – odpowiedziałem, wyobrażając sobie siebie zawijanego w dywan...

– Otóż oglądałeś już zapewne pokaz multimedialny wrocławskiej fontanny?

– Pergoli – tak, oczywiście – nawet parokrotnie.

– To świetnie, bo przygotowałem specjalny pokaz – tylko dla ciebie...

Nagle przypomniałem sobie o trwających właśnie pracach konserwacyjnych na Pergoli, które mają zostać zakończone za dwa tygodnie. Powiedziałem o tym Leskiemu; że remont, że fontanna jest ogrodzona...

– Leski zaśmiał się rubasznie – Dla ciebie zrobiono wyjątek. - dla nas – poprawił. Taki teatr jednego aktora i jednego widza. Gwarantuję, że nie braknie emocji zwłaszcza, że pula nagród jest bardzo atrakcyjna...

Sam już nie wiedziałem, co tym myśleć. Leski zaczął mi się jawić jako szaleniec i jak szaleniec się zachowywał. To co mówił i sposób w jaki to robił – nie pozostawiał mi złudzeń. Fontanna, albo dziura w głowie. Fontanna, Inga, dwieście tysięcy, albo dziura w głowie. Musiałem wreszcie o to zapytać, a ten posraniec wyraźnie czekał na to pytanie...

- Panie Leski – o co chodzi z tą fontanną? Mam się w niej wykąpać? - starałem się być zabawny. - i czy do cholery nie ma tutaj drugiego krzesła? - bolał mnie już nogi. - teraz dla odmiany spytałem poważniej. Leski podniósł słuchawkę telefonu, wybrał trzy cyfry i coś niezrozumiale burknął. Po chwili jakaś przeraźliwie chuda kobieta przyniosła krzesło; drewniane siedzisko, metalowe oparcie i także same nogi. Nie czekając na zaproszenie – usiadłem czując wielką ulgę.
- Czy teraz jest pan zadowolony? - zapytał.
- Owszem – odparłem. - byłbym jeszcze bardziej, gdyby zechciał pan się streszczać bo zależy mi na czasie.
- Muszę pana zmartwić panie Dubiej. Otóż musi pan zarezerwować sobie dzisiejszy wieczór, a przy niekorzystnym dla pana obrocie spraw – nawet całą... wieczność. - zaśmiał się ponuro i kazał mi przysunąć się z krzesłem bliżej biurka.
- Jak panu wiadomo ta fontanna ma kształt koła, czy prościej mówiąc – jest okrągła. Znajduje się w niej woda, około siedemdziesięciu centymetrów. Pańskim zadaniem będzie przejść nad nią, nie wpadając do wody... Oczywiście zadanie będzie trochę utrudnione, gdyż będzie musiał pan przejść nad nią po linii... Utrzymanie równowagi i przejście po linii na jej drugi koniec, zagwarantuje panu *pulę nagród*; tak jak wspominałem: moja żona, dwieście tysięcy, wolność i... życie...
- Pan chyba zwariował – o czym pan bredzi? - jak to życie? Otóż do fontanny doprowadzony jest kabel wysokiego napięcia, wystarczającego by zabić stado afrykańskich słoni w trzy minuty... Sam pan rozumie, że jeden, jedyny błąd może kosztować pana życie.
- Pan naprawdę zwariował! - krzyknąłem. Nie sądzi pan chyba, że będę robił za pańską tresowaną małpę? - marnuje pan swój czas, zresztą mój też. Żegnaj – rzuciłem i zacząłem podnosić się z krzesła. Leski gestem dłoni kazał mi usiąść. Sięgnął po telefon i ponownie wybrał trzy cyfry. - Proszę na górę – powiedział do słuchawki. Po dwóch, może trzech minutach rozległo się ciche pukanie do pomieszczenia, w którym toczyłem z Leskim psychologiczną walkę. Walkę nierówną...
- Wejść – powiedział Leski Do pomieszczenia wszedł wysoki, szczupły chłopak o twarzy pacholęcia. Zwróciłem uwagę na jego mocno zniszczone dłonie i irytujące żucie gumy. Bez słowa podszedł do Leskiego i nachylając się do jego ucha, chwilę coś szeptał. Leski z wyraźnym zadowoleniem kiwał głową, a kiedy chłopak przestał i odsunął się od niego – Leski zacierając ręce stwierdził:
- No to mamy wszystko załatwione. Następnie zwracając się bezpośrednio do mnie, oznajmił niemal ojcowskim i pełnym troskliwości tonem, że w moim dobrze pojmanym interesie, jest pozostanie na miejscu i wysłuchanie go do końca.

Tak też uczyniłem, chociaż wiele bym dał żeby być teraz daleko stąd z moją Iną. Móc tulić ją z całych sił i słuchać jej kojących słów, zamiast nedorzecznego bełkotu tego starego capa.

Leski wstał, podszedł do chłopaka i kładąc mu protekcyjnie dłoń na ramieniu – kontynuował:

– Boguś to dobry chłopak, potrafi docenić pewne sprawy – powiedział Leski kiwając głową w stronę nie przestającego żuć gumy chłopaka. Dwa lata temu kiedy opuszczał więzienie – bardzo mu pomogłem. - Prawda Boguś? Tamten skinął potakująco głową. Jest dla mnie jak syn, którego nie mogła mi dać moja żona... Jest w stanie dla mnie zrobić wszystko, bo wie co to znaczy wdzięczność, w przeciwieństwie do Ingi...

Teraz właśnie też wykonał pewne zadanie, które panu przedstawię i które każe panu przytrzymać dupę na krześle. Otóż Boguś wszedł do pańskiego mieszkania przy Sienkiewicza i zostawił tam około kilograma czystej heroiny. Dodatkowo w zlewozmywaku pańskiej kuchni, znajdują się ślady krwi mężczyzny, który właśnie ma przeprowadzaną sekcję w miejskim prosektorium. Jeżeli nie podejmie pan gry na moich zasadach, policja zostanie odpowiednio naprowadzona na właściwy, że tak powiem tor...

Słuchałem tego wszystkiego z ustami rozchylonymi niczym pustynny wędrowiec na Saharze. Nie dowierzałem własnym uszom – byłem przerażony i nawet nie próbowałem tego ukrywać.

Leski zauważył to i głosem pełnym tryumfu po pauzie, która trwała całe wieki – powiedział:

– Dziesięć lat to minimum jakie pan dostanie, panie Dubiej. Dziesięć lat więzienia bez Ingi, bez przyszłości i perspektyw. Czy pan rozumie swoją sytuację? Skinąłem twierdząco głową, bo suchość jaka panowała w moim gardle uniemożliwiała mi wydobyć z siebie choćby jednego słowa.

Leski kazał chłopakowi przynieść wodę mineralną. Chłopak wyszedł, po chwili wracając z butelką niegazowanej, taniej wody z jakiegoś dyskontu. Wypiłem łączywie pół butelki od razu.

– Lepiej panu? - zapytał i nie czekając na odpowiedź dodał – za godzinę jedziemy do Parku Szczytnickiego.

– Jaką mam gwarancję? - zapytałem.

– Żadnej – odpowiedział Leski i po raz drugi tego dnia wyjął z szuflady biurka swojego glocka.

Punkualnie o dziewiętnastej wsiedliśmy do samochodu Leskiego, który prowadził Boguś. Leski i ja siedzieliśmy z tyłu. Oddzielał nas czarny neseser, którego Leski nie wypuszczał z rąk. Nie wypuszczał też swojego austriackiego przyjaciela, czule pieszcząc go pod połą marynarki...

Przez całą drogę nikt się nie odezwał. Na miejsce dotarliśmy po trzydziestu minutach. Boguś zaparkował auto blisko Hali Stulecia, skąd do fontanny mieliśmy około dziesięciu, czy piętnastu minut spaceru. Musieliśmy wyglądać jak trójka dobrych znajomych, którzy wybrali się na popołudniowy spacer. Tą drogę także przebyliśmy w milczeniu, jeśli nie liczyć odchrząkiwania Leskiego. Zapaliłem tak utęsknionego papierosa, zaciągając się dymem z lubością. Ostatnie życzenie skazańca – papieros; sztampla, szablon, rutyna. No bo przecież nie potężny zestaw z McDonalda, a nie powiem – miałem ssanie w żołądku. Czułem się właśnie jak skazaniec idący na śmierć i gorączkowo myślałem jak ją przechytryć.

Oszukać przeznaczenie – wokół tego krążyły intensywnie moje myśli. Zanim znaleźliśmy się na miejscu, zdążyłem wypalić jeszcze drugiego papierosa...

– Jesteśmy na miejscu panie Dubiej – oznajmił z zadowoleniem Leski.

Moim oczom ukazał się płot z blachy falistej, który niemal szczelnie okalał fontannę – miejsce kaźni. - Cholera – skarciłem się w myślach – więcej optymizmu Marku...

Podeszliśmy do jednego z dwóch zielonych baraków. Leski zapukał w drzwi i po chwili pojawił się w nich stróż, który wyglądał jak ktoś w stanie terminalnym. Leski zamienił z nim dwa zdania, po czym wsunął mu do kieszeni jakieś zawiniątko. Domysliłem się, że były to pieniądze. Stróż skinął głową w geście podziękowania, i zniknął na moment w baraku. Po chwili wyszedł z niego, zamknął drzwi na klucz i nieśpiesznie się oddalił.

No tak – pomyślałem – żadnych świadków. Teatr jednego aktora i jednego widza. - Przypomniały mi się słowa Leskiego.

Wiatr zaczął przybierać na sile, niosąc orzeźwiający chłód. Słońce jeszcze próbowało przebijać się jasno-pomarańczowymi promieniami przez korony drzew, ale nadchodzący zmrok – zdecydowanie był górą. Rozejrzałem się dookoła kopiąc drobny żwir. Robiło się naprawdę chłodno.

– No to chodźmy panie Dubiej – powiedział Leski.

Bez słowa ruszyłem idąc między nimi. Eskortowali mnie...

Podeszliśmy do falistego ogrodzenia od południowej strony; gdyż tam znajdowało się wejście. Boguś, który jeszcze bardziej zintensyfikował zucie gumy, ujął dwoma rękoma brzegi przęsła i cofając się powoli, odciągnął je na tyle żeby można było wejść.

Fontanna wyglądała jak ponury, kamienny krąg w którym zaraz zostaną złożony w ofierze. Nad nią na wysokości trzech, może czterech metrów znajdowała się lina, rozpostarta przez całą jej średnicę. Jej początek wytyczała ośmiostopniowa, aluminiowa drabinka; to chyba jedyne ułatwienie w wykonaniu tego zadania – pomyślałem. Dobre i to...

Leski podszedł do mnie tak blisko, że miałem wrażenie iż nadeprnie mi na stopy. Chrząknął mocno dwa razy i powiedział żebym go dobrze słuchał, gdyż jak to już mówił wcześniej – nie lubił się powtarzać.

– Tak więc – zaczął, - Omówię szczegółowo zadanie które ma pan do wykonania. - Proszę być uważnym, a ewentualne pytanie zostawić na później.

Skinąłem głową na znak, że rozumiem, a Leski zaczął mnie instruować.

– Otóż jak już wspomniałem, pańskim zadaniem będzie przejście po linie zawieszony nad fontanną, której średnica wynosi 28 metrów. Woda która jest w fontannie, znajduje się pod wysokim napięciem elektrycznym. Zamiast tradycyjnej tyczki balansowej, otrzyma pan dwa płócienne woreczki napełnione piaskiem, po dwa kilogramy każdy. Zarówno umiejętnie balansowanie ciałem jak i rzuconymi woreczkami, powinno panu pomóc w wykonaniu zadania. Drabinka którą pan zauważył, jest gestem mojej dobrej woli...

Ma pan nieograniczony czas, lecz proszę o niezwłeczenie z rozpoczęciem zadania. Jakies pytania?

– W zasadzie jedno, - jak bardzo ceni pan swój honor? - spytałem może trochę bez sensu.

– Bez obaw panie Dubiej; honor to moje drugie imię, a ja bardzo dbam o swoje imię... Zresztą zasady to święta rzecz... A propos zasad – Pomyślnie ukończenie zadania gwarantuje panu otrzymanie dwustu tysięcy złotych i mojej żony na wyłączną własność... Jeżeli nie przystąpi pan do zadania próbując na przykład ucieczki – Boguś powiadomi odpowiednie służby o narkotykach w pańskim mieszkaniu, a także o śladach krwi. Oczywiście nie odbierze pan nagrody, jeśli po prostu wpadnie do wody, ale wierzę, że tak się nie stanie...

- Proszę zobaczyć – powiedział otwierając czarny neseser z którym przez cały czas się nie rozstawał. - To dwieście tysięcy złotych. Ingi niestety nie mam przy sobie z obiektywnych względów.

Zapaliłem papierosa wierząc, że nie to nie ostatni. Kiedy skończyłem, Leski wymownie kiwnął głową w stronę drabinki. Ruszyłem ku przeznaczeniu...

Wiatr nie ustępował i to bardzo mnie niepokoiło. Jego podmuch może mnie strącić wprost w objęcia śmierci...

Zapiąłem dokładnie cieniłą, ortalionową kurtkę, następnie wziąłem dwa woreczki z piaskiem i długo ważyłem je w dłoniach. Wszedłem na pierwszy stopień drabinki i zauważyłem, że Leski i jego przydupas uśmiechali się głupkowato...

Znalazłszy się na szczycie mojego aluminiowego sprzymierzeńcy, starałem się ocenić siłę wiatru, a ten wiał to z tej, to z tamtej. Wiedziałem, że nie będzie łatwo. Zanim postawiłem stopę na linie, zrobiłem parę wydechów powietrza, wypuszczając z każdym z nich negatywne emocje. Powoli i najostrożniej jak to tylko możliwe, wszedłem na linę. Wydała mi się mocno napięta, lecz czułem jak ugina się pod ciężarem mojego ciała. Nie patrzyłem w dół, tylko na koniec liny – to był mój cel i moja droga do Ingi. Pieniądze nie były najważniejsze, chociaż zdawałem sobie sprawę, że mogłyby nam bardzo pomóc na początek. Balansowałem ciałem wspomagając się woreczkami, które w zależności od sytuacji obniżałem lub podnosiłem do góry. Czasem jeden z nich miałem niżej, a drugi wyżej. Kiedy pokonałem odległość pięciu kroków przyszło mi na myśl, że mógłbym spróbować po prostu przebiec pozostały odcinek, jednakże uznałem ten pomysł za wielce ryzykowny i dalej mozolnie, w stanie największej koncentracji pokonywałem kolejne centymetry. Całkowicie się wyłączyłem, skupiając się tylko i wyłącznie na osiągnięciu celu. Wiatr nie ułatwiał mi zadania, toteż wyczyniałem woreczkami istną zonglerkę. Byłem w połowie drogi i jeszcze żyłem – to dobry znak – pomyślałem, i jakby uskrzydłony tą myślą – szedłem dalej. Pochylałem się, to znowu prostowałem, przesuwałem stopy po linie niczym organiczny szynobus. Lina i ja staliśmy się jednością...

Podświadomie widziałem Ingę, a nawet czułem jej zapach. Miałem nadzieję, że jeszcze nie doznałem obłądu. Nie zważałem już na wiatr, który był coraz silniejszy. Starałem się przewidzieć jego podmuch i odpowiednio ustawić ciało. Szedłem, szedłem i szedłem – jak w narkotycznym transie, jak somnambulik we śnie. Zostało mi jeszcze dziesięć, może piętnaście kroków, ale nie miało to już znaczenia albowiem wiedziałem, że dam radę. Dam radę pierdolone skurwysyny! Został mi ostatnie centymetry tej przymusowej wędrówki, i kiedy już miałem znaleźć się na końcu liny, mocny podmuch wiatru pchnął mnie do mety. Zachwiałem się i wpadłem wprost na stojącego naprzeciwko kresu mojej drogi Bogusia. Obydwaj się przewróciliśmy. Przydupas Leskiego szybko wstał i uznając to za atak z mojej strony – uderzył mnie pięścią w twarz. Poczułem piekący ból w okolicach nosa i ciepło spływającej po brodzie krwi. Zaskoczony i oszołomiony, pozwoliłem przeciwnikowi na wyprowadzenie kolejnych ciosów, które nie ominęły mojego żołądka, nerek oraz ponownie twarzy.

Miałem chyba złamany nos; ból promieniował na całą twarz. Boguś nie zamierzał na tym poprzestać, przeciwnie – szykował się do następnego ataku. Pomimo nieustępującego bólu, przyjąłem postawę obronną, ale nie udało mi się uniknąć potężnego kopnięcia, które odrzuciło mnie daleko do tyłu. Nie miałem sił się podnieść.

Boguś rozpędził się jak gdyby chciał dokończyć dzieła, i pędził na mnie z opentańczym krzykiem niczym lokomotywa pozbawiona maszynisty...

W ostatnim momencie zdołałem obrócić się na bok, a napastnik z całym impetem uderzył w niewielką pryzmę piachu. Zdałem sobie sprawę, że to wszystko zostało ukartowane przez Leskiego. Zastosowano wobec mnie plan B, na wypadek pomyślnego ukończenia przeze mnie zadania. Śmierć w fontannie miała za zadanie sprowadzić policję na fałszywy trop, a dodatkowo dać Leskiemu porcję rozrywki. Zastanawiałem się, dlaczego po prostu mnie nie zastrzelił. Myśl, że cały mój wysiłek okupiony niewysłowionym strachem, że godziny psychicznej udręki które miały teraz pójść na darmo i, że Leski najzwyczajniej w świecie sobie ze mnie zakpił – spowodowała, że wstąpiła we mnie taka moc, jaka drzemać może tylko w bombie atomowej, która spadła na Hiroszimę. Zerwałem się z ziemi gotów rozszarpać gołymi rękoma przydupasa Leskiego, sprawiając by ten nie mógł już nigdy żuć gumy swoją zuchwą. Dostrzegłem opartą o ogrodzenie łopatę. Dwie sekundy później trzymałem ją mocno oburącz, gotowy zadać nią śmiertelne uderzenie przeciwnikowi, który nie zdążył się jeszcze pozbierać z pryzmy piachu. Wziąłem potężny zamach, dysząc przy tym jak maratończyk na mecie. Chciałem jeśli nie zabić, to przynajmniej ogłuszyć skurwiela, ale w tej samej chwili rzucił mi w twarz garść piachu. Przez moment nic nie widziałem. Teraz on miał łopatę, gdyż ta wypadła mi z rąk...

Plując piaskiem i starając się oczyścić oczy, zrobiłem parę kroków z wyciągniętymi rękoma, chcąc namacać jakiś punkt oparcia. Obfite łzawienie pomogło w odzyskaniu na chwilę straconego wzroku. Rozejrzałem się dookoła przygotowany do obrony, lub przy nadarżającej się sposobności – gotowy do ataku. Jednak przydupasa Leskiego nigdzie nie było. W każdym razie – nie widziałem go. Natomiast w tej całej szamotaninie umknął mojej uwadze sam Leski. Dojrzałem go po chwili, jak przykucnięty pomiędzy pomarańczową betoniarką, a fontanną - szarpał się ze swoim neserem. Teraz dopiero uzmysłowiłem sobie, dlaczego mnie nie zastrzelono. Otóż Leski zanim zamknął neser pokazując mi równo poukładane pliki banknotów, schował do niego broń. Sądząc po jego szarpaniu się z walizką uznałem, że ta musiała się zaciąć.

Wykorzystałem więc to, że w pobliżu nie było Bogusia i pobiegłem do Leskiego...

Nadbiegając zrobiłem lekki wyskok i mocno kopnąłem go w twarz. Widział mnie jak w szybkim tempie zbliżałem się do niego, ale nie spodziewał się tak solidnego kopniaka. Przewrócił się na plecy nie wypuszczając z ręki nesesera. Usiadłem na nim okrakiem i zacisnąłem dłonie na jego szyi, ten chcąc się bronić wypuścił neser. - Zabiję cię skurwielu, - zabiję jak psa – krzyczałem.

Leski już dobrze rzeźił, kiedy za swoimi plecami usłyszałem szybko nadbiegającego przydupasa Leskiego. Nie wiem gdzie przebywał przez tą chwilę, kiedy go nie widziałem, ale teraz skurwiel nadbiegał, chcąc skopiować mój wyskok z kopnięciem.

Odbił się jakieś dwa metry przede mną. Kiedy znajdował się już w powietrzu, instynktownie chwyciłem prawą dłoń za rączkę nesesera Leskiego, i wykonując półobrót - z całej siły uderzyłem skurwysyna gdzieś na wysokości pasa. Uderzenie było tak silne, że aż z bólu zapiekła mnie dłoń, oraz spowodowało otwarcie nesesera, z którego wypadła część banknotów oraz pistolet. Tamten opadając zachwiał się, przebiegł pochylony głową do przodu jeszcze parę metrów, i nie odzyskawszy równowagi – wpadł głową prosto do fontanny, natomiast reszta jego ciała – znalazła się poza nią. Rozległo się niesamowite syczenie i bulgotanie wody. Ciało nieszczęśnika podrygiwało w śmiertelnych konwulsjach, jak gdyby ten - tańczył właśnie taniec świętego Wita. Musiał umrzeć szybko, ale prąd smagający trupa szybkimi skurczami – nie chciał go jeszcze puścić. Nad fontanną unosił się biały obłok dymu i czuć było swąd spalonej, ludzkiej skóry. Wzdrygnąłem się, i nawet poczułem w sobie odruch współczucia dla tego chłopaka...

Tymczasem Leski musiał obserwować śmierć swojego pomagiera, przynajmniej przez chwilę, bo chcąc wykorzystać sytuację, sięgnął po leżącego na ziemi glocka. Nie dałem mu żadnych szans – byłem szybszy. Zwinnym ruchem podniosłem broń i niczym zawodowy cyngiel, przyłożyłem jej lufę do czoła przerażonego Leskiego.

Tonem pełnym pogardy i zarazem tryumfu – nie przestając mierząc w czoło Leskiego, - zapytałem go:

– Jak to powiedziałeś skurwielu? - Teatr jednego aktora i jednego widza – tak? Leski nie odpowiedział, krew odpłynęła mu z twarzy, która była teraz biała jak pierwszy, zimowy śnieg. Pan Leski – honorowy mężczyzna dotrzymujący słowa i dbający o swoje dobre imię...

– Mam dla pana propozycję – panie Leski, teraz to pan weźmie udział w grze – na moich zasadach! - dodałem.

Leski złapał się teatralnie za serce i zaczął pojękiwać, licząc zapewne na moje współczucie.

– Panie Leski, chce pan umrzeć teraz na serce? W takiej chwili? - zapytałem z sarkazmem.

- Otóż nie może mi pan tego zrobić, gdyż przygotowałem dla pana pewne zadanie... Widzi pan tą linę? – skinąłem głową w kierunku fontanny. Leski w odpowiedzi zemdłał.

Kiedy udało mi się go ocucić, stwierdziłem, że ma wybór: albo wchodzi na linę, albo rozwalę mu łeb natychmiast.

Leski wstał powoli i zapytał – Dlaczego? W odpowiedzi uderzyłem go otwartą dłoń w policzek tak mocno, że aż cofnął się do tyłu, o mało się nie przewracając.

– Idziemy – powiedziałem szorstko i pchnąłem go w stronę aluminiowej drabinki...

Kiedy do niej doszliśmy, stanąłem przed nim i włożyłem pistolet za pasek spodni.

– Zasady święta rzecz – pamięta pan? Teraz ja je ustalę, hmm? Przejdzie pan po linie, ubezpieczając się woreczkami z piaskiem. Jeśli wpadnie pan do wody – spotka go to samo co nieszczęsnego Bogusia. Natomiast pomyślne ukończenie zadania – zagwarantuje panu życie. W hańbie bo hańbie – ale życie. Czy pan to rozumie?

– Tak, - drżącym głosem odpowiedział Leski.

– To dobrze, to bardzo dobrze. Dodam, że ma pan nieograniczony czas na wykonanie zadania, lecz proszę nie zwlekać z jego rozpoczęciem...

Kiedy stanął na ostatnim stopniu drabinki, spojrzał na mnie i zapytał – Jaką mam gwarancję? - Żadnej – odpowiedziałem, - życząc mu uprzejmie powodzenia...

Leski postawił prawą stopę na linie i rozpostarł ręce z woreczkami na wysokości bioder. Zanim jego lewa stopa dotknęła liny – minęły całe wieki. Kiedy stanął już obydwiema, zaczął się naprawdę występ jednego aktora. Jego ciało wyginało się w prawo i lewo, - coraz szybciej – w prawo i w lewo, i jeszcze szybciej, i w bok i przysiad, i w lewo, prawo... Woreczki wyleciały mu z rąk, czy może je po prostu puścił, - nie wiem.

Rękoma pozbawionymi balastu – kręcił niewyobrażalne młynki z niesamowitą szybkością. Ciało w lewo i prawo, przysiad, młynki – coraz szybciej... Jego czubki butów skierowane były w moją stronę; stał zwrócony przodem do mnie, stopy razem, młynki młójące powietrze...

Patrzył na mnie z błagalną miną o pomoc... Sekundy jak godziny...

Nie chciałem mu pomóc – zasady święta rzecz...

Nawet gdybym chciał – nie mogłem; nie wiedziałem nawet gdzie znajduje się wyłącznik prądu...

Runął głową do przodu niczym japoński kamikadze, a jego krzyk był zapowiedzią kulminacyjnego aktu przedstawienia...

Wracałem do mojego mieszkania na Sienkiewicza – ściskając mocno czarny neseser, do którego schowałem broń. Wyjęty wcześniej plik banknotów, znacznie uwydatnił kieszeń moich czarnych, sztruksowych spodni. Byłem już dosyć daleko od tego miejsca, od tej cholernej, pieprzonej fontanny, która długo jeszcze nie zachwyci multimedialnym pokazem... Ostatni pokaz odbył się dzisiaj; szalony taniec wyładowań elektrycznych, niczym małych piorunów. Gasnące i na powrót świecące parkowe latarnie, przy akompaniamencie nieludzkiego krzyku. Oraz zapach przypalanego, skwierczącego tłuszczu w oparach dymu... A wszystko to dla jednego widza...

Każdy krok oddalał mnie od miejsca, które nazajutrz stanie się tematem numer jeden wszystkich gazet, telewizji i stacji radiowych...
Niech Bóg mi przebaczy, jeśli istnieje...

Wbiegłem po schodach na trzecie piętro – musiałem jak najszybciej usunąć narkotyki i ślady krwi. Musiałem uspokoić oddech i opanować drżenie rąk, gdyż nie mogłem trafić kluczem do zamka. Kiedy już dostałem się do środka – udałem się do kuchni i pochylając się nad zlewozmywakiem stwierdziłem, że nie ma na nim żadnych śladów krwi. Następnie przetrząsnąłem całe mieszkanie w poszukiwaniu kilograma narkotyków, ale ich również nie znalazłem.
Doszedłem do wniosku, że te dupki po prostu blefowały.

Pomyślałem o Indze; tak bardzo się za nią stęskniłem, że chciałem jak najszybciej się przy niej znaleźć. Prawie się uśmiechnąłem... Prawie. Niedawne wydarzenia jeszcze długo będą gościć w pamięci, albo i pozostaną w niej na zawsze...
Musiałem ukryć gdzieś neseser i porządnie się odświeżyć. Schowałem go pod starą, dębową szafę.
Kiedy wyszedłem z łazienki, poczułem dosyć mocne ssanie w żołądku. Lodówka była prawie pusta a to oznaczało, że musiałem wyskoczyć do sklepu. Drogę do sklepu przebyłem jakoś tak lekko i w dobrym humorze. Paru nieznanym zupełnie osobom powiedziałem – Dzień Dobry! - Co nigdy mi się nie zdarzało.

Pieczony kurczak – to było to! Resztę zakupów zrobię wieczorem – pomyślałem. Byłem już tak głodny, że miałem zamiar zabrać się za kuraka w drodze powrotnej. Zajrzałem jeszcze do kiosku, który znajdował się tu od niepamiętnych czasów, i kupiłem Głos Dolnośląski.

Kurczak był jeszcze ciepły, ale i tak pokręcił się trochę w mikrofalówce. Rozerwałem go na dwie połowy i oblizawszy palce – rozłożyłem gazetę. Sięgnąłem po dyżurną ściereczkę aby przed przewróceniem strony, móc wytrzeć ręce. Na pierwszej stronie informacja o *pobytku premiera w szpitalu; niewydolność górnych dróg oddechowych. Syria spływająca krwią, i napięta sytuacja na giełdzie*. Ale mnie głównie interesował temat wczorajszych wydarzeń na Pergoli.

Kęs, ściereczka, przewrócenie strony. - Jasna cholera! - Niemal dostałem wytrzeszczu oczu, gdy natrafiłem na...

Nad ranem wyłowiono z Odry ciało 57-letniego mężczyzny, ubranego w mundur ochroniarski. Jak podaje policja, bezpośrednią przyczyną śmierci nie było utonięcie. Wstępne oględziny ciała ujawniły liczne rany klute... Trwa dochodzenie i ...

To wyjaśniało wczorajsze zniknięcie Bogusia; poszedł za ochroniarzem, zadźgał go, a ciało wrzucił do Odry. Żadnych świadków...

Ta wiadomość sprawiła, że musiałem odłożyć apetycznie przypieczoną nóżkę; pobladłem i zadygotałem. Muszę jak najszybciej spotkać się z Ingą, bo zwariuję. *Księżę Monaco... Kary za opóźnienia przy budowie...* Przewróciłem parę stron i doszedłem do dodatku wrocławskiego i...

Jest, jest artykuł o Pergoli! Dali w nim prawie całą stronę.

Śmierć w Parku Szczytnickim. Wrocławska fontanna multimedialna, miejscem mafijnych porachunków

Podniecony – czytałem:

Policję powiadomili pracownicy remontujący fontannę. Kiedy przyszli do pracy, zauważyli ciała dwóch mężczyzn, które znajdowały się w fontannie. Ciała były bardzo zniekształcone i poranione. Oprócz nich w wodzie znajdowały się dwie miejskie mewy. Do wody w fontannie doprowadzono przewody wysokiego napięcia, co wyglądało na zaplanowany wyrok. Jedną z ofiar okazał się Joachim Leski, znany wrocławski biznesmen i filantrop. Ciała drugiego z mężczyzn nie udało się na razie

zidentyfikować. Prokuratura łączy to zdarzenie ze śmiercią Ingi Leskiej, którą znaleziono zamordowaną w jej mieszkaniu na Krzykach w sobotę 12 czerwca br. Rzecznik wrocławskiej policji Krzysztof Polkowski zapewnia o szeroko zakrojonym śledztwie i...

Ingi? Śmiercią Ingi? – NIE! to nie prawda. Jak to, moja Inga nie żyje, zamordowana? Poczułem przeszywający, piekący ból w klatce piersiowej. Moje dłonie zaciskały się na blacie kuchennego stołu, aż pobiełały kłykcie. Krew niczym gorąca lawa wrzała we mnie, a czaszka pulsowała takim bólem iż wydawało mi się, że zaraz pęknie wyrzucając z ogromną siłą mózg. Cały odrętwiały niewysłowionym, dojmującym bólem, nie mogłem wydobyć z siebie łez. Ogromna gula w gardle, tłumiła łkanie blokując oddech.

Wstałem i wspierając się o meble – poszedłem do pokoju z dębową szafą. Wyjąłem spod niej czarny neseser i wróciłem z nim do kuchni.

Otworzyłem szeroko okno, potem walizeczkę i powoli, metodycznie wyrzucałem przez nie banknoty, które niesione wiatrem szybowały w nieznane...

Pustą walizkę rzuciłem z obojętnością w kąt pokoju, i podszedłem do stołu, gdzie obok gazety o leżał glock. Popatrzyłem z żalem na niedończonego kurczaka.

Zanim zdziwił mnie chłód lufy w ustach, pomyślałem, że przecież pieniądze nie były najważniejsze...

